

BLUSZCZ.

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.



BOŻE NARODZENIE.

Święta w rodzinie.

Święta Bożego Narodzenia otoczone są uroczystością najwdzięczniejszą; rodziny, ludzie związani ze sobą węzłem przyjaźni zgromadzają się, aby łącznie się opłatkami wypowiedzieć sobie wyrazy tych uczuć i pragnień, które w sercu nosimy i snuje się wątek nadziei, której odblask rozjaśnia nam czoła, a rok nowy, który się zbliża, otwiera nam jakoby nowe pole istnienia i niemal każdy z pośród nas stawia przed sobą jakieś pożądań swych obrazy, wyciąga ręce ku marzonym szczęściu ideałowi. Należało by przecież obok snucia tego wątku nadziei czynić i obrachunek z przeszłością, a jeżeli uzbierałoby sobie, coś na zapas życia, jeżeli staliśmy się choć cokolwiek męźniejszemi, dzielniejszymi, jeżeli umiemy patrzeć głębiej w życie i przeznaczenie człowieka, to rok, który dobiega końca swego nie był dla nas straconym. Ale postęp wszelki musi być okupiony wytrwałym ku niemu dążeniem i trzeba też na to nosić w sercu niezmiennie pożądanie tego, co jasnie nam przed oczyma jako ideał szczęścia—mieć pewien stały wzór dobra i piękna, ku któremu kierowały by się kroki nasze.

Lecz przedewszystkiem trzeba nam kochać i umieć kochać. Kochanie prawdziwe jest nie tylko szczęściem lecz i cnotą, bo daje nam to podstawę trwałego oparcia się sercem o serce drugie, a związki rodzinne to najpewniejszy fundament dla życia, które potrzebuje wymiany uczuć, potrzebuje tej pomocy, złożonej w radzie dobrej, łagodnie, tkliwie nam dawanej. Wszystko co w koło siebie chcemy udostojnić i na wyższy poziom podnieść, powinno czuć, że postępujemy przez miłość i z miłością, a wtedy nie ma tu już oporu, bo ta wiara słodka wywołuje z głębi człowieka uczucia istoty jego najlepszej i rozbraja gniew, zwycięża nawet zaciętość; siła dobroci z jednej strony wznosi dobroć drugiej i nietyle rozum ile serce wytworzyło te słodkie węzły, które tworzą rodzinę.

Najświętszy skarb natchnień ludzkich złożony jest w gorących uderzeniach serca młodego, którego nie wyziębiły jeszcze zawody, więc bije ono w piersi żywiej i silniej, nie licząc się z trudnościami życia, a wszelka młodość szlachetna odważna jest i wierząca, że potrafi bryłę ziemi z posad wzruszyć. Ludzie starsi, którym ciężkie doświadczenia życia tego nieraz boleśnie odczuć się dały, nie powinni przecież mrozić serce młodych obrazami zawodów swoich i święta w rodzinie powinny też być otoczone tą aureolą wdzięcznego uroku, który pójdzie za istotą młodą w dal, jako wspomnienie najdroższe i skryształali się w klejnot, jakim jest ono rzeczywistość dla życia tego.

U schyłku kończącego się roku niemal każdy marzy trochę i tworzy zamiary dla tej przyszłości, która mu się ukazuje po za obłokiem mglistym. Nadzieja, nie odstępująca prawie nigdy człowieka w zupełności, szepcze mu słowa pociechy, że może droga jego życia równiejszą, gładką się stanie, przecież należało by raczej wejrzeć okiem badawczym w przeszłość, która ubiegła i zamysleć się nad tem, czyśmy uzbierali sobie cośkolwiek na zapas dla przyszłości? Trzeba przecież na to mieć przekonania ugruntowane na tej stałej podstawie pojęć, co tu złem jest, co dobrem, bo inaczej możemy mylić się i błądzić, więc męczyć się i tracić siły potrzebne nam konieczne, abyśmy do zamierzonego celu dobiegli. Przeszłość nasza idzie za nami jak cień od postaci naszej odbity i to jest nagrodą lub karą naszą, ale człowiek jest istotą wolną i może się podnieść z upadku, może się kierować w stronę tę życia, która ukazuje mu ideały życia tego uajszlachetniejszego.

Wiara w postęp jest tu nam pomocą i nie tracajmy jej, bo zatracilibyśmy zarazem i wiarę w ludzkość, więc i wiarę w siebie, zeszlibyśmy zatem na ostatni już szczebel upadku ludzkiego ducha, który nie jest już zdolnym podnieść się ku wyższemu ideałowi ludzkości. Pesymizm jest też najcięższym już nieszczęściem człowieka, bo znikają mu wtedy z przed wzroku ducha obrazy te szlachetnych dążeń ludzkości, które przecież zagrzewają nam serce

do czynów wzniosłych, ofiary na korzyść dobra ogólnego—na korzyść idei życia podniesionej nad poziom materialnego istnienia jedynie. Odpadają nam też wtedy ręce od wszelkiej szlachetniejszej pracy żywota, umysł nie podnosi się w tę stronę światła, którego promień ożywczy potrzebnym jest ludzkości, aby serca były gorąco i ukazywały się oczom naszym te ideały życia podnioslejsze, które jedynie dać nam mogą rozkosze czyste i wzniosłe, niezależne od materialnej doli i niedoli życia.

Kto przecież nie potrafi odnaleźć w życiu celów jego wysokich, musi zejść na padoł istnienia niski i niezdolnym już jest wtedy zrozumieć jego stron wzniosłych, zapada więc w wątplenie coraz to boleśniej gorzkie, nie wierzy w cnotę, nie wierzy w godność człowieka i znikają też dlań wszystkie wielkie czyny męstwa, poświęceń, które w umyśle jego trawstują się nędznie i obniżają, schodzą na niziny życia, którego ideały ożywcza jest przecież szacunek tego, co cześć godne. Uznać w człowieku dostojność nieśmiertelnego ducha jest to uciecić samego siebie i jakoby przyjąć zobowiązania do czynów uczeiwej pracy wśród ludzkości dla tryumfu szlachetnych celów, które ludzkość tę wiodą w stronę wzniosłego dobra, a dobro te—dobro powszechne, jest jeszcze światłem i ciepłem życia dla tych wszystkich, którzy już osobiście nie żądają nic od życia i pragną tylko, aby przybywało ludzkości coraz to więcej promieni dobra i blasków piękna, podnoszących nam ducha w łonie.

M. I.

POGA WĘDKA.

„Widzisz Aleksandrze—oto Ludwik, z którym przed dwudziestu laty przybyłem do Paryża. Stanowi na cały mój majątek.“

Temi słowami przemówił do syna autor „Trzech Muszkieterów“, idąc do łóża, by z niego już nie powstać. Luidor wypadł z kieszeni i przez syna ojcu podany został.

Całym więc majątkiem wielkiego pisarza była dwudziestofrankówka. Przekazał ją synowi wraz z talentem pisarskim, który spadkobiercy swojemu przynosił sławę, rozgłos wszechświatowy, i—trzy miliony franków majątku.

Talent Dumasa (syna) był duży, lecz sława większą niż rozgłos. Luidor ojcowski urosł do milionów w rękach obrotnych a szczęśliwych. Ha! można pracować dobrze i tworzyć arcydzieła nawet, gdy się wie, że prędko—miękkie, ciepłe a własne gniazdo się sobie uściele, a później myśl już swobodnie oddać się może pracy twórczej, bez troski zabijającej o byt codzienny, bez walk z przeciwnością falami, które wciąż z jednostajnym ruchem, z jednostajną siłą płyną i płyną, odpięranie ogromnym wysiłkiem woli, bez odpoczynku, bez snu, a gdyby i sen przybył to i on, piastun zmęczonych, niczem innym nie będzie, jak tylko odbiciem się tych borykań codziennego życia, dalszym ciągiem przerwane na chwilę z rzeczywistością boju.

Ten luidor dumasowski ciężko mi myśli nasunął. Przeniosłem się gdzieindziej...

Jak smutno!

Nie mniejsze zasługi—uznanie zawsze mniejsze. Kryształ ziemi obcej brylantują się nam wciąż w oczach, choć się tam w podatnej do tego rodzą glebie, a gdzieindziej wytwarzają się własną, wewnętrzną mocą. Tam tworzenie jest rozkoszą, tu—poświęceniem. Tam zawsze na horyzoncie, choćby najdalszej przyszłości, świeci gwiazda dobrobytu i spokoju—tu blask ten prawie nigdy nie przyświeca. Licha nagroda, ciche uznanie a życie smutne.

Doprawdy, że wielkie to są dachy, wielkie serca, wiele ludzi, którzy nie sarkną nigdy i ust nie pokają skrzywionych, lecz jak niezmordowani kowale kują żelazo twarde, złote iskry rzucając do koła, oświecające niejednym drogą wśród gościnców lesistych, ciemności nocnych i mroków przedwzschodowych.

A jakto skorzy jesteście paląc kadziła bogom obcym z zapoznaniem własnych Światowidów. Po-

śmiertne wspomnienia o autorze „Damy kamelkowej“ brzmiały niemal jednogłównym chórem uwielbienia, choć—Bogiem a prawdą—nie dorównał on naszym Prusom i Sienkiewiczom ani głębokością myśli, ni nieskalaną czystością ziarn swojego siewu. Znajdują się u nas dziś jeszcze tacy, i to, nie złą głowę na karkach noszący, którzy o twórcy „Ojca Żadźmionych“ mówią ze wzruszeniem ramion, a w „Szwajcaryi“ widzą romans, w którym udziału ani krew ani serce nie bierze, lecz tylko lubieżność zimnego już umysłu, przewiedłych nerwów i t. d. Ciskają wciąż w oczy manją naśladowczą autora „Balladyny“ zapominając, że i Rasin i Korneil posilkowali się hiszpańskimi dramaturgami a i Szekspir kładł piętno swego geniuszu na dzieła już pisane.

W tym wypadku stajemy w dziwnej sprzeczności z ogólnie znaną, choć złą zasadą: że żdźbło w oku brata, a belkę w swoim nie widzimy. Tu przeciwnie: nasze własne żdźbła belkami się stają.

Nie jestem wcale za *samoupajaniem się*.

O—nie! potrzeba zawsze mieć sąd jasny. Ale rozgrzeszę z ławością tych, którzyby skromną rutę nad kwiat zamorski przenieśli. Bądź co bądź—ku niej serce pociąga. A cóż dopiero, gdy nie jesteśmy zmuszeni wcale takiego porównania czynić? Weźmy naprzykład dwóch genjuszów: Byrona i Słowackiego. Uwielbiam obu—lecz ostatniego i kocham jeszcze.

To trudno—takie jest prawo natury... A my się nieco wynaturzamy.

Piszę to pod wrażeniem luidora, a więcej jeszcze pod wrażeniem niedawno odbytej pogadanki, w której gwałtem zlipocić nas chcieli. Brońmy się—a siebie poznawajmy lepiej—nie wszystko jest złotem, co z kopalń zagranicznych pochodzi.

Ze spraw miejskich jest parę rzeczy do zanotowania.

Wspomniemy nasamprzód o dwóch projektach rozszerzenia ulicy Karowej. Pierwszy z nich jest za rozszerzeniem tej bardzo ważnej arterii komunikacyjnej do dziesięciu sążni i przy pomocy podłużenia jej, łącznie dwa razy w kierunku prostopadłym, a za każdym razem podwójnie t. j. tam i napowrót, naturalny jej spadek doprowadzić ma tym sposobem do minimum. Przestrzeń pomiędzy owymi załomami ma być ozdobiona skwerem. W ten sposób utworzyłyby się trzy tarasy a komunikacja piesza po lewej stronie ulicy Karowej odbywałaby się za pomocą tunelowych schodów kamiennych oświetlonych gazem.

Projekt ten jednak, wykonalny pod względem technicznym, ma być niewykonalny z powodu nadmiernych kosztów, albowiem magistrat musiałby nabyć od sąsiedniej posesyi około 16,000 łokci kwadratowych, z prawej zaś strony ogrodów wizytowskich przeszło 20,000, co już jest rzeczą zbyt poważną, zważając na cenę gruntów w owej miejscowości. Nabyć to byłoby dopiero początkiem mającego się dokonać dzieła, któreby się opłaciło dopiero kroćmi tysięcy rubli, a są wątpliwości czy kassa magistratu na taką sumę w *krótkim* (podkreślony ten wyraz) zdobędzie się czasie. — Więc—w obec braku *na razie* gotówki na wykonanie tego kosztownego projektu, opracowanego przez inżynierę miasta, dają projekt drugi, daleko skromniejszy lecz łatwiejszy do wykonania, zatem tańszy i mogący być w *najbliższej* wykonany przyszłości. Projekt ten drugi jest za splantowaniem ulicy Karowej od Krakowskiego-Przedmieścia, aż do Browarnej i Furmańskiej, ujednostajniając ten spadek na całej długości, przyczem pochyłość wynosić będzie 0,07, gdyż długość tej linii liczy 160 sążni, a wysokość tej góry trochę więcej nad 11. Przy takim projekcie ulica już Karowa byłoby znacznie węższą, posiadałaby szerokość jaką mają np. Hoża lub Zórawia, ale zato, doprowadzenie jej do należytego porządku odbyłoby się w znacznie krótszym przeciągu czasu.

Owóż tedy, ten pośpiech, ta krótkość czasu—przytanioci wykonania ma stanowić wyższość drugiego projektu.

Jabym takim pośpiechem nie grzeszył, — a już magistrat rzecz całą do serca weźmie i pieniądze nie dzisiaj, to jutro, a choćby nawet pojutrze znajdzie?

Dla czego ta nagłość?

Dla wygodę miasta?..

Prawda—ale brzydka nasza Warszawa, niechby choć raz zechciała być zalotną. Projekt pierwszy. p. Rudnickiego i Kozłowskiego jest przepyszny!

Nowa dzielnica wedle ich zamiarów byłaby może jedynym wdziękiem syreniego grodu, wabiącego pięknosciami kobiet lecz wcale nie swoją. Tyg: Illus: dał nam widok tej w przyszłości ulicy, z tarasami, załomami i domami mającemi kiedyś tam powstać. Opuszczony dziś zakątek stałby się cackiem, a młode pokolenie byłoby wdzięczne projektodawcom jeżeliby się doczekało spełnienia ich zamiarów.

Ale—ręcz idzie o pieniądze...

A może się znajdują?

Ba—kiedy? a tu się chce, by taniej lecz prędzej ta Karowa ulica powstała?

A myśmy byłiby zdania: powoli — lecz piękniej a wygodniej niech będzie. Nie od dziś dnia po niej chodzimy, pochodzmy jeszcze trochę, a może wszystko pomyślnie się ułoży i taka ozdoba miastu przybędzie...

Oby prawdziwą była wiadomość, że projekt ów został już przedyskutowany i przyjęty w zasadzie na posiedzeniu rady magistratu i uzyskał zupełną aprobatę I. W Prezydenta miasta, a po rozpatrzeniu powtórnem przez delegowaną specjalnie w tym celu komisję, będzie złożony do zatwierdzenia władzy...

Jak to łatwo jest ludzię się, jak przykre rozczarowywać się później:—Zapowiadano od dawna wielki koncert, który miał przynieść wielkie zyski i o wielki krok naprzód posunąć sprawę pomnika Stanisława Moniuszki. Pod dzielną batutą Noskowskiego miała się zebrać orkiestra i chóry śpiewacze, razem 150 osób, udział miały wziąć p. Józefa Szlegierowa p. Julian Jeromin i „Lutnia“ pod dyrykcją Piotra Maszyńskiego, a na program miały się złożyć takie dzieła, nieśmiertelnego mistrza pieśni polskiej, jak: Uwertura i Modlitwa z op: „Flis“ „Tren Jana Kochanowskiego, Sonet krymski“ „Ruina“ „Piosnka żołnierza“ „Pieśń Zosi z kantaty „Widma“ Serenada i Mazur z op: „Straszny dwór.“ —...

I co?...

Cieszono się wielkim napływem publiczności—ach! któż śmiał wątpić o tem—wiadomy cel — wiadomo kto był celu przedmiotem—i—

I co?

Z uczestników koncertu nikt nie zawiódł—zawiodła publiczność. Wykonanie było prześliczne, lecz z parę setek zaledwie znalazło się słuchaczy.

Dla czego?

Trochę zarumieniłem się...

Wybaczcie!

Bywają czasami takie mimowolne rumieńce— Nie powiem już nie o tym przedmiocie — smutno mi!

Ale liczba miłośników muzyki nie zmniejsza się u nas wcale. Jakkolwiek fortepian nie jest już warunkiem koniecznym dobrego wychowania i anien—za to cytra znajduje u nas coraz więcej miłośników, o czem świadczy, że ukazały się w drugim wydaniu, przed rokiem dopiero po raz pierwszy ogłoszone „Pieśni ludowe polskie“ opracowane na ten instrument przez p. Bolesława Kowalskiego. Tenże autor ogłosił i „Skarbczyk melodyi“ o czem w piśmie naszym, na krótko przed śmiercią, sprawozdanie złożył ś. p. Kleczyński.

Dobrze zapowiada się „Raut biały“ na rzecz Towarzystwa opieki nad biednymi matkami i dziećmi. Zabawą tą nie tylko zaciekawiona jest cała Warszawa, ale, jak o tem do nas wieści dochodzą i prowincya dość licznie uczestniczyć w nim będzie. W celu uświetnienia rautu nie szczędzą starań panie: Julja hr. Branicka, Helena hr. Krasieńska, hr. Sołtanowa i Lucyjanowa Wrotnowska. Przy akompaniamencie fortepianu deklamować będzie hr. Konstanty Przeździecki a także p. Rydel wygłosi wiersz własny specjalnie dla tego rautu napisany. Krom tego pojawi się pewna deklamatorka, która zwykła wielki zapal w słuchaczach wywoływać.

Na część wokalną złożą się: p. Piechowska, konkursowa „dwunastka lirników“ warszawskich i pana Nouvello. Przy fortepianie siadzie Józef Sliwiński i p. Wędrychowska. Raut odbędzie się w następną sobotę d. 21-y m. b. m.—do widzenia zatem.

Z pism dowiadujemy się o zreagowaniu ostatecznem projektu Towarzystwa opieki nad chorymi po domach.

Kwestya ta jeszcze przed kilku laty podniesioną została, głównym zaś projektodawcą był p. Ignacy Kaufman, który myśl swoją przedstawił pewnemu gronu osób, umięjącemu odczuć ważność projektu i dokładającemu następnie starań do wprowadzenia w czyn myśli dobrej.

Ówczesne stowarzyszenie składało się z pp.: Maksymiljana Berenta, Henryka Buchnera, Bolesława Buka, ks. Zygmunta Chełmickiego, d-ra I. Cyłkwa, Leona Goldsteta, Jakóba Goldszmita, S. Grutzhandera, J. Jarbluma, adwokata Józefa Jasnowskiego, d-ra Stanisława Kohna, prof. warsz. uniwersytetu W. Miklaszewskiego, redaktora I. H. Pelty, d-ra Jakóba Rozenhala, Jakóba Rotwanda i Matiasa Taubehausa.

Projekt rzezonny, przeszedłszy różne koleje, dzisiaj w zarysach głównych tak się przedstawia:

Celem Towarzystwa jest udzielanie bezpłatnej porady lekarskiej, zaopatrywanie członków w środki lecznicze i dyetetyczne a w miarę funduszków i innych osób niezamożnych. Działalność Tow. obejmuje Warszawę i Pragę, środki apteczne wydawane być mają na zlecenie lekarzy przez Tow. wyznaczonych. W razie choroby, wymagającej troskliwego doglądania, Tow. wysyła wykwalifikowane osoby jako *gardes malades*.

Do Tow. wchodzi członkowie honorowi i rzeczywisci bez różnicy płci i wyznania. Składka jednorazowa rs. 100, minimum 12 rocznie. Członkami mogą być i niewnoszący opłaty, lecz, którzy swoją wiedzą przyczynią się w czemkolwim Towarzystwu mogą. Członkowie rzeczywisci opłacają rs. 2 wpisowego i rs. 6 rocznie. Zwolnieni od tego są członkowie korespondenci.

Sprawami Tow. kieruje zarząd złożony z 30 członków, wśród których 10 jest honorowych. Co-rocznie trzecia część członków przez głosowanie zmienia się. Komitet wybiera z pośród siebie zarząd, roztrząsa i zatwierdza sprawy tegoż, wybiera komisję rewizyjną, uzupełnia zmianę i t. d.

Przybywa nam zatem nowa instytucya, a niedaleka może już przyszłość pokaże, że nie jest zbyt cenną w rzędzie innych, lecz wiele dobrego zdoła.

A o i nowy przemysł:

Na wiosnę ukazały się w Warszawie kapelusze tatarskowe. Dwaj sobie Niemcy wydzierżawili stosowny lokal w Rudzie fabrycznej (Kaskada) i tam przy pomocy rąk niewieści, spokojnie, bez reklam żadnych założyli fabryczkę owych kapeluszy. W tym celu liście tataraku preparują chemicznie, doprowadzając je do śnieżystej białosci lecz czasem i zabarwiają kolorem. Krają te listki na szersze lub węższe pasy i plotą nam okrycia na głowę, jak już niektórzy twierdzą, lekkie, tanie i—ładne. Ci dwaj panowie nie są jednak samolubami i—gdy mają czerpać zyski z kraju, pragną też z nim umięjętnością swoją podzielić się. W tym celu z przemysłem swoim chcą obznajomić okolicznych mieszkańców wsi, szczególnie wiejskie dziewczęta. A że czego a czego to tataraku u nas nie brak—może ten przemysł rozprzestrzeni się z czasem i stanie się domowym. Zawdzięczać to będziemy pomysowości niemieckiej wprawdzie — lecz dobre zawsze się przyda, tem nigdy pogardzać nie godzi się.

Zobaczmy—kawał to jeszcze czasu do wiosny, ale nadejdzie.

Lecz oto za dni parę zabyłynie nam gwiazda wigilijna, gwiazda dobrej nowiny, corocznie zgromadzająca nas u jednego stołu z myślą podnioslejszą niż zwykła, codzienna ucztą.—Dawniej w tym dniu uroczystym zapominano znów wszelkich uraz, kto miał o czem zapomnieć—zapominał, kto miał coś przebaczyć—przebaczał.—Godziły się zwaśnione rodziny, niechętnie sobie przeciągały się ramiona, bo Bóg się narodził, przebaczenie i miłość świata.

Gwiazdo! gwiazdo! dla czego ty tylko na niebie świecisz, a tak rzadko wschodzisz w sercach ludzkich—dla czego, stajesz w myślach naszych—promienna, a do promiennych nie zachęcasz czynów? Czy nie wzajemnie już sobie do przebaczenia nie mamy, nie do zapomnienia? A jednak—gwiazdo! tak trudno jest czasem przebaczyć, tak ciężko zapomnieć. To też łamiemy chleb anielski nie z duszą anielską i rzucamy Begu pytanie: a kiedyż przyjdzie królestwo Twoje, wielka miłość ogarniająca świat cały?

Prastarym kierując się zwyczajem, idę do was czytelnicy moi z tym chlebem bożym. Łamię go z wami w myśli własnej, składając życzenia spełnienia snów wszystkich.

??

KAZIMIERZ GLIŃSKI.

KLESKA.

POWIĘŚĆ.

(Dalszy ciąg).

— Gdzie byłaś? zagrmiał Baczynski, zaledwie Malwina próg przestąpiła...

Głos pytającego z tak wielką rozszedł się siłą, że książd Ambroży drgnął cały, Miss, jakby odrzucona, cofnęła się, pani Olimpia jak trup zbladła, a Malwina stanęła, niby piorunem rażona. Baczynski nie powtórzył pytania, tylko groźny wzrok utkwiał w biedne dziecko, które łamało się pod tem spojrzeniem gniewu ojcowskiego. Gdyby nie przeszła tyle, nie przecierpiała tyle, gdyby jej serce od paru tygodni nie ręczyła taka trwoga i miłość, bezładnie myśli nie zalewały mózgu, tysiące uczuć nie potraçało duszy; gdyby nie ten szalony niepokój o życie Andrzeja pozbawiający ją zmysłów prawie, może by podniosła czoło dumnie i śmiały wzrok we wzroku zatopiła ojcowskim. — Ale w tej chwili czuła się zbyt znękaną i słabą, potrzebującą podpory i słów ciepłych, była podobną do arfy rozstrojonej, która tylko jęknąć może. To też ścisnęła ramiona, jakby się chroniąc przed ciosem mającym spaść na jej barki, twarz i usta zbieleły, oczy rozszerzyły się i pokryły przerażeniem śmiertelnem. Tak patrząc na ojca cofała się do ściany i oparła się o nią nie spuszczała spojrzeń z groźnych Baczynskiego oczu.

Zanim pani Olimpia przyszła do siebie, książd oprzytomniał—Baczynski, nie otrzymując odpowiedzi, z pianą wściekłego gniewu na ustach, zbliżył się do zaleknionej i z siłą, której już miarkować nie umiał, zatopił swe palece, pragnące coś gniesić i łamać, w białem, miękkim ramieniu Malwiny.

— Gdzie byłaś?—przez zaciśnięte wybiegło zęby—i dłoń ścisnęła.

Bolesny krzyk wypadł z piersi Malwiny, zachwiała się i padła na ziemię.

W Baczynskim obudziło się zwierzę, które nie zna liłości dla powalonych. Z zabiegłych oczu krwią z warg posiniałych i konwulsyjnych kurezów palców znać było, że gdyby nie wrszak miss Mary, nie skok gwałtowny żony, nie biała głowa księdza, która pochylała się nad leżącą, łamałby, gniotł i deptał, nie zdając sprawy z uczynków haniebnych. Ale oprzytomniał go ten krzyk miss Mary, powstrzymały ramiona żony, surowy głos kapłana równowagę zmysłom powrócił.

— Baczynski!—zawołał książd. — Czyś oszalał, by się znęcać nad dzieckiem?

Pan Lubomir wypuścił z rąk swych ofiarę, podniósł się, wyprostował i stał chwilę, jak nieprzytomny, rozproszone chwytając myśli... Jakiś strach wielki rozszerzył mu źrenice, patrzył na księdza, na żonę, to na córkę, która tuliła się do ramion matki, drząc nerwowo. Z piersi biednej dziewczyny nie płacz wybiegał, lecz jakieś skomlenie urywane, jakiś szelest jęku; do matczynej garnęła się piersi, szepeząc głosem, mogącym głazy poruszyć...

— O mamol!... mamol!...

Teraz błałością osłoniło się Baczynskiego czoło. Po wściekłym wysiłku gniewu nastąpiła reakcya. Była chwila, w której zdawać się mogło patrzącym, że się zachwieje i padnie. Zrozumiał to książd Ambroży, bo podszedł szybko i za rękę go ujął.

— Wyjdź ztąd, a bądź mężczyzną i ojcem litosciwym — — — Pójdę z tobą i pogadamy tak, jak

na ludzi przystało, których Bóg rozumem obdarzył, a w ich sercach przybytek sobie zbudował, a wy Go precz wyrzucić chcecie—

Baczyński już oprzytomniał i zapanował nad sobą.
— Czy uczyniłem podłość jaką?—zapytał.

— Chodź, chodź—tu mówić nie będę z tobą, — mówił ksiądz Ambroży.

Po chwili znaleźli się w gabinecie pana Lubomira.

Baczyńskiego z księdzem Ambrozym nie łączył zwykły stosunek parafianina z proboszczem. Znali się od ław szkolnych, odbywali razem uniwersyteckie studia, później dopiero rozeszły się ich drogi, ale dobra, stara przyjaźń nie doznała w niczem uszczerbku.

Co zmusiło księdza Ambrożego do wzięcia sukni kapłańskiej nie wiedzieli najbliżsi koledzy, wiedział tylko Lubomir, przed którym Ambroży tajemnicę nie miał. Kochał, a kochał nieszczęśliwie, nie dla tego, by nieodpłacono mu równie wielkiem uczuciem—lecz oni i jego wybrana należeli do dwóch, nie znoszących się dotąd warstw społecznych. Ambroży był synem ubogiej rodziny—ulubiona jego dzieckiem wielkiego świata, — więc — rozłączono ich.

Bogata panna wyszła potem za bogatego pana lecz nie znalazła szczęścia. Wspomnienie pierwszej miłości snuło się wciąż za nią, przez łzy patrzyła na świat, smutek do ust jej przyrósł i uwił trwałe gniazdo w jej sercu. Umarła młodo—lecz ludzie nie wiedzieli dla czego umarła.

Ambroży nie sprzeniewierzył się jej pamięci—i został księdzem. Przed laty dwudziestu, gdy w Jarneńskiej parafii zakwakoła probostwo, prosił o nie i z łatwością uzyskał. Zbliżyło się więc znów dwóch przyjaciół. W bardzo krótkim przeciągu czasu nowy kapłan podbił serca wszystkich. Zło ludzkie słowami zwalał, jak czynić trzeba — uczył przykładem. Zajmował się stroną religijną wychowania Malwiny i jeżeli jej serca nie popsowały niedorzeczne pieszczoty rodziców, zawdzięcza to może tylko księdzu Ambrożemu.

Baczyński, prowadzony przez księdza wszedł do swojego gabinetu, lecz nie znał na nim było żadnej pokory, żadnej skruchy, najłżejszej myśli ustępstwa, uległości a cóż dopiero poddania się losowi. Przybrał tylko pozór spokoju, lecz cały wrzał oburzeniem; to, o czem się dowiedział nie nieprawdopodobnym już mu się wydało, lecz wprost rozpustą. Za wysoko cenił swój ród, nazwisko, stosunki aby na tak głupi związek, jakim byłoby połączenie się Malwiny z Andrzejem, mógł się zgodzić.

Usiadł na fotelu i kładąc rękę na biurze, patrzył w twarz księdza, który naprzeciw zajął miejsce.

— I cóż mi powiesz? Ja chciałbym wyjaśnienia całej tej sprawy—

A na to ksiądz:

— Wyjaśnisz sam ją, przypomnij tylko jeden ustęp z mojego życia—

Baczyński przygryzł wargi.

— Ta... miłość twoja?

— A o niej mówię—

— I cóż? Niepoddanie się—

— A następstwa?

— Zostałeś księdzem—i sądzę, że jesteś rad ze swojej sutany. Czy myślisz, że temu... temu... łajdakowi—temu... synalkowi Krzysztofa, nie żyłybym może by to samo uczynił? A niech się obwieści niepoń—to jeszcze dam na Mszę, byś się pomodlił—

— Baczyński!... myślałem, że lepszym chrześcijaninem jesteś— rzekł ksiądz.

— Jestem dotknięty w samo serce—

— Nie—przerwał kapłan. — Pycha nie jest sercem— Ale nie o tem chcę mówić. Ja—zostałem księdzem i nie narzekam na los—lecz... tamta?

— Przecie wyszła za mąż—

— A znałeś jej życie? a znasz jej—koniec—?

— Dla czego wspominasz mi o tem? To wygląda coś tak, jakbyś powiedział mi chciał: Malwina kocha się—pozwól na wszystko, panie Baczyński, bo ona, jak tamta—umrze. A jakże! Śmierć na zawołanie przychodzi... Dla tego maniaka, mam się poniżyć, zbłaźnić, głupiemu dogodzić kaprysom—co?...

— Dogadzałeś *wszystkim* kaprysom, a to nie kaprys.

— Miłość!—wykrzyknął Baczyński.

— Tak,—dodał ksiądz.

— Jak ten szlachetka śmiał zbliżyć się do niej?—zgrzytał pan Lubomir. — Jak ten stary Malecki zezwolił na to, czy mnie nie znał?

— Nie unosi się—chcesz przecie wyjaśnić—

— Tak—wyjaśnić!—zawołał Baczyński—bo mi łeb trzaska.

Ksiądz rzekł:

— Andrzej się nie zbliżył—zbliżyła się twoja córka—

— Co? co? co? — unosząc się nieco z siedzenia, spytał Lubomir.

— Krzysztof prosił twą córkę, by w próg jego domu nie wprowadzała niedoli, konia jej za uzdę wziął i własną ręką wyprowadził za wrota—

— Co? co? co?—powtórzył znów pan Lubomir.

— Tu Malececy nie winni nic a nic...

— Więc ona—córka moja—jest nędznicą? — wrzasnął Baczyński.

— Hamuj się—chcesz wyjaśnić—

Baczyński usiadł—słuchała wargi mu się trzęsły.

Ksiądz Ambroży opowiedział wszystko: o pierwszym poznaniu się podczas burzy, wypadku Andrzeja, chorobie, zaniepokojeniu i przybyciu Malwiny, o tchnieniu miłości, jakie owionęło serca tych dwojga, wzbronieniu przez pana Krzysztofa wstępu pod dach swój pannie Baczyńskiej, słowach jej skierowanych ku niemu, przysyłanych posłańcach, o ostatniej chwili wreszcie, w której zaniepokojona spowiedzą chorego przybyła blada i drżąca, ramiona wyciągnęła, przy łożu padła i długi pocałunek na czoło ukochane złożyła...

I kończył:

— Byłem świadkiem—słyszałem słowa: Nie wydrze teraz nikt mnie ciebie!... W tem zespoleniu dusz i serc widziałem palec Boży, nie karzący, lecz wskazujący, że On te dwie istoty dla życia wspólnego stworzył. A ja, sam przyznasz, znam się trochę na ludziach, na sercach i na uczuciach tych serc. Oderwać ich możesz od siebie, lecz nie oderwiesz ich dusz. Zabić możesz, jeżeli ci się miłą wyda rola kata. Wybieraj!

Baczyński mileżał chwilę—później rzekł.

— I to tak stary przyjaciel mówi?

— Czy możesz mnie co zarzucić?...— odezwał się kapłan.—Rozumu nie zaprzeczysz, bo go mam; serca nie weźmiesz, bo je codziennie między tyśiące rozdzielam a nie czuję braku cząsteczki jednej; zacności nie ujmiesz nie, bo to za wielkie kłamstwo zważyłoby się ciężarem własnym. Znam przecie wartość swoją, licha jest przed Panem lecz przeciw waszej postawić ją mogę. Słyszysz mnie raz pierwszy tak mówiącym o sobie—wiesz, że pychę nie grzeszę—lecz mówię to, tu, w tej chwili, dlatego tylko—że, jeżeli ja, kapłan, nie potępiam tej miłości—grzechu w niej nie masz, a jeżeli jest bez grzechu, zasługuje na błogosławieństwo Boże, a błogosławieństwo udzielić powinienś: ty—jako ojciec, żona twoja—jako matka i ja—jako ksiądz.

— Nigdy!—zawołał Baczyński.

— Słuchaj—słuchaj—słuchaj, — szepnął ksiądz Ambroży — ja byłem tam, widziałem ich i mówię tobie, że miłość ta silną jest, jak śmierć!

— Opamiętaj się, bo mówisz jak dzieciak,— rzekł Baczyński.

— Nie—ksiądz na to — i nie próżną marą cię trwożę—

— Strach siejesz, chcąc mnie zmusić do uległości. Ale...

— Ale?—zapytał ksiądz.

— Sprzeciwie się—rzekł z mocą Baczyński,—bo to klęska dla mnie; sprzeciwie się, bo to klęska dla niej... Jak życie urządził sobie, jakie towarzystwo doborą, z kim żyć będą, bo odwróca się wszyscy ode mnie i od niej... Pierwszy szła minie—a później co? Cha-cha-cha. Zacheiało się Maleckiemu Baczyńskiej—do tegom doszedł... Hańba! hańba! Toć wolałbym skonać sto razy—

— Nie ty skonasz,—rzekł ksiądz.—A myślałem, że kochasz Malwinę—

— Czym nie był najlepszym dla niej ojcem? — zawołał Baczyński.

— Dziecku pozwalałeś na figle rozpustne; gdy to dziecię w kobietę urosło zabraniasz jej sercu bić, jak ono chce samo? Czyś zdolen to uczynić?

— Słuchaj Ambroży—ja ciebie teraz do rozumu przywołam. Miłość nie kierowana rozsądkiem jest szaleństwem; rozsądek nadejdzie później i dość

mu będzie rozejrzeć się w przedmiocie ubóstwienia, by zobaczyć, że tam i serce źle uprawne, i uczucia za prostacze i—głowa za głupia. Po dwóch, trzech miesiącach takim jej się ten—ten pan Andrzej przedstawi.

— Czy znasz go?—zapytał ksiądz.

— Ja? znać go?...

Prychnął śmiechem.

— Za wiele zaszczytu dla mnie—dodał.

— Więc nie sądz—a ja ci powiem jakim jest ten syn starego Krzysztofa.

Baczyński słuchał opowieści księdza, który rozum i serce Andrzeja, przeciwstawiał z rozumami innych—zasady z innych zasadami porównywał, w nawiasie nawet i piękności wspomniął, której lekceważyć nie można, tam, gdzie miłość w grę wchodzi. Ale Baczyński był zimny jak lód, nieczuły, jak głaz.

— Dobrego mają rzeźnika w tobie,—rzekł—ale ja na wszystko poradzę—

— Co myślisz uczynić—

— Wyjadę.

— Sam?

— Pytanie twoje mówi, że—nie sam!

— Czy siłą ją ztąd wywieziesz?

— Myślisz... że nie ulegnie?—spytał Baczyński.

— Nie! Ja znam i ty ją znasz...

— Czy—sądzisz—że byłaby zdolna do jakiego szalonego kroku?—zapytał drżącym głosem.

— Nie wątp' o tem—

— Cóżby uczynić mogła?—szepnął ciszej.

— Choćby ze skały się rzucić — a tu ich nie brak!

Baczyńskiego twarz zbiałała—

— Niech będzie, co chce—zawołał powstając.—Ja—ja nie zezwolę!...

Ksiądz patrzył chwilę, a potem rzekł:

— A ja—jako dusz pasterz, nie mogę zezwolić—na grzech!

Wstał także—

— I cóż ty możesz uczynić?—spytał ojciec Malwiny.

— Zaręczyłem ich dzisiaj—i te święcone dłonie na ich głowie spoczęły—

— Ty?—zachrapał Baczyński.

— Ja—bom nie mógł uczynić inaczej. On by prawie umierający, a ona u jego tarzała się łoża Błogosławieństwo moje w imieniu Boga im dane wróciło spokój sercom, radość do dusz, a ty chcesz rozciąć to wszystko?

— Ha! ty może im ślub dasz?...

— Dam.

Baczyński zadrżał i wzrok przeszywający na księdza zwrócił.

Zmierzyli się.

Burza i spokój—chmura ładowna gromami i cisza łagodnych błękitów spotkały się z sobą—lecz pioruny wypalają się szybko—jasności błękitów nie zamącić nie może.

Baczyński wzrok opuścił.

Nagle u drzwi dał się cichy szelest słyszeć—ksiądz spojrzął i zrobił krok naprzód, odwrócił się i Baczyński a dech mu w piersi się zaparł.

Jak widmo, jak mara, jak coś złamanego nieszczęściem weszła Malwina. Wpadnięta miała twarz, tylko oczy wielkości niezwykłej patrzyły jakąś głębią bezdenną, usta białe zupełnie, na gorsie w pół obnażonym pięć ciemnofioletowych pręg znać było, jakby od szpon orlich. Baczyński uczył pięć cięć przegiera w samo serce zadane. Malwina zbliżyła się do stojącego w kamiennem milczeniu ojca, wzięła dłoń jego, do zimnych, jak dwie bryłki lodu ust przycisnęła, złożyła długi, długi pocałunek—i odeszła.

Była chwila ogromnej ciszy, ogromnego milczenia.

— Co to jest? co to jest?...—zdławionym głosem wyszeptał Baczyński.

Pochylił się naprzód i patrzył w drzwi, po za któremi znikło to widmo jego córki...

Zrazu i ksiądz Ambroży nie rozumiał nic—ale po chwili pobladł okropnie.

— Dla czego ty zbladłeś? — wyszeptał Baczyński—dla czego ty tak zbladłeś?—powtórzył.

— To jakieś pożegnanie—rzekł ksiądz.

— Idź... idź... do niej... zatrzymaj!... Ja nie wiem dziś nic— Idź... idź... O, Boże!... ja nie wiem dziś nic—

Więcej nie mógł wymówić.

Ksiądz wyszedł—Baczyński zatoczył się, jak pijany, za szafę, za poręcz krzesła się chwycił i z dławicą łkaniem padł na sofę.

Ksiądz przez korytarze szedł do pokoju Malwiny. Spotkała go pani Olimpia, podeszła i wyszeptwała:

— I cóż mąż?...

Ksiądz rzekł:

— Idź pani do niego.

Następnie spotkał Agatę zanoszącą się od płaczu, tej kazał być cicho i język za zębami trzymać; w drzwiach prawie już samych pokoju panny Baczyńskiej natknął się na miss Mary, która właśnie śpieszyła do księdza, bo rozum odmówił jej posłuszeństwa.

Weszli razem do buduaru—

Malwina poprawiała warkocze przed zwierciadłem—na krześle leżało małe ręczne zawiniątko i w malutkich, złotych ramach obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej. Na stole ksiądz dostrzegł trochę pieniędzy przy otwartym pugilaresie i kupkę klejnotów zebranych—podarunki matki. Pośród tych przedmiotów, znajomych dobrze księdzu Ambrożemu, nie było najmniejszego podarunku ojca. Te wszystkie były osobno zebrane, przy nich leżał list, na którym ręką Malwiny stał napis:

„Ojcu.“

Ksiądz znaczącym ruchem głowy i rąk dał do poznania miss Mary, że musi sam zostać. Potem zbliżył się do Malwiny, za rękę ją wziął i pociągnął do siebie—

— A, jak dobrze, że ksiądz przyszedł—rzekła.

— Siadaj, moje dziecko—muszę cię wyspowiadać.

Panna Malwina uśmiechnęła się.

— Od kiedy zapamiętam, spowiadałam się tylko przed tobą, ojcze! Wiesz wszystkie moje grzechy, wszystkie występki, żadna myśl nie jest ci obcą—i cóż chcesz, bym ci jeszcze powiedziała?

— Co miała znaczyć ta twoja bytność u ojca? — zapytał staruszek.

— Czyż mogłam go opuścić bez pożegnania?

— Bez pożegnania?—zapytał ksiądz—a serce mu się skureczyło...—Bez jakiego pożegnania? o czym ty myślisz?

— Ja tu nie mogę zostać, mnie złamają, zgniotą...

Och! gdybyś ty wiedział, ojcze, jak mnie ramię boli! Ojciec tak mocno ścisnął, że myślałam, iż strzaska mi je na cząstki drobne. I co ja winna, że mi się w głowie pomieszało, oszalało serce. Mnie wszystko wolno było robić, warjactwa różne, najniedorzeczniejsze głupstwa; od dzieciństwa mówiono mi ciągle: co ty chcesz i my chcemy—i tak było, dopóki nie zacheiało mi się szczęście. Ale ja się nie gniewam, ojcze, o—nie! Jedni tak, inni tak rozumieją—zawsze dwie prawdy się znajdzie, jednej nikt jeszcze nie widział... Ha—to trudno!... Ja do nikogo nie mam żalu—ale na co mnie ojciec tak ścisnął bardzo? Bilby mnie, gdyby nie ty, nie mama... Bilby—a ja nigdy bita nie byłam—nie wiedziałam, że można mnie uderzyć, tak mocno za to biedne ramię chwycić. Krzyczano na mnie—raz pierwszy, dzisiaj... To straszne!... Nie przyzwyczajono mnie do tego, a teraz nagle krzyk, bicie... i to w chwili, gdy z tobą ojcze wróciłam ztamtąd, pod grozą wciąż trwającego nieszczęścia, które nie minęło, nie minie może. O, jakie czarne plamy na ramieniu—jak gangrena!... (Dreszcz nią wstrząsnął). Spodziewałabym się, że ten dom zawali się prędzej, niż bym ujrzała na sobie tak znaki brzydkie... Pożegnałam ojca, żeby nie myślał, że ja się gniewam. Nie! powiedz to jemu—lecz boję się go—i tu nie zostanę za nic, za nic! Niech jego gniew przejdzie—przyjdę do niego... ale on nie może przestać się gniewać, to ja idę... tam... gdzie on nie chce—bym szła...

I drżała, jak drzewko osikowe, przejęta strachem niezmiernym. Znać było, że Baczyńskiego postępek, tak nie przywidziany przez nią, nie oczekiwany, tak, zdawało się, niemożliwy—wszystkimi nerwami jej wstrząsnął, a każde wspomnienie w nim budziło obawę powtórzenia, silniejszą nad tłumaczenie rozumem, nad—choćby przysięgi obcych, że to już się nigdy nie powtórzy.

— I gdzie ty iść zamierzasz—dziecko? — zapytał ksiądz.

— Do Andrzeja—

— Pomyśl, pomyśl chwilę!

— Ja muszę być przy nim—sam mi pierścionek ten dałeś, związałeś słowami miłości i ślub nam dasz—

— Tak, moje dziecko—rzekłem i was nie opuszczę... Lecz ty rodzicielskiego nie rzucaj domu—tego nie można robić, nie można—

Malwina znów drzeć zaczęła—

— Ale ja się tu boję zostać... Nie—nie... To ramię boli mnie jeszcze!...

— Ojciec uniósł się i—żałuje tego! — rzekł ksiądz.

— Żałuje—?

— Tak—bądź spokojna! — pocieszał. — Dawna nas łączy przyjaźń, ja mam na niego wpływ. Ty przecie rozumiesz, że własna miłość jego, jego pycha dotknięta została, że zniszczone zostały zamiary jego dumne. Chciał cię widzieć żoną hrabiego Izydora, a ty sercem ku innemu się zwróciłaś... Zapomniał się—

— Więc bić za to?

— Biedne dziecko — szepnął ksiądz do niej.— To ojciec—on cię kocha! W uniesieniu gniewem popełnił grzech i wypowiada się przede mną. Ale już tego nie będzie, nie będzie—

— A jeżeli będzie—spytała kuląc ramiona—kto mnie obroni?

— Masz moje kapłańskie słowo—

Malwina przyłożyła usta do ręki księdza.

— Zostanę, tak wierzę tobie... Ale—ja z nim się będę widywała? z Andrzejem?

— Naznaczysz godzinę—przyjdę po ciebie i pójdziem razem—

— Tak—to dobrze!... Boże! jak mi się w głowie kręci—

Ksiądz powstał.

— Odmówimy razem pacierze—i spać będziesz spokojnie pod skrzydłem mojego błogosławieństwa.

Uklękli—ksiądz modlił się głośno, za nim powtarzała Malwina słowa litanii.

— Matko—nie opuszczaj nas!—mówił kapłan.

— Matko—zmiłuj się nademną!—szepnęła Malwina.

Gdy skończyli pacierz, ksiądz pocałował ją w głowę i pocieszał słowami:

— Bóg z tobą!

Malwina zatrzymała księdza.

— Co chcesz, dziecię?

— Wielką mam prośbę, ale boję się powiedzieć.

— Mnie?

— Bo ona jest ciężką do spełnienia — szepnęła—

— O to już troskę mnie zostaw—rzekł ksiądz.—

— Dowiedz się ojcze do Andrzeja—dzisiaj jeszcze. Gdyby, broń Boże, nieszczęście jakie—daj mi znać!

— Dobrze—dobrze.. Bądź spokojna, przepędzę przy nim noc całą.

Przeżegnał i pożegnał.

Malwina udała się na spoczynek i nie wiedziała nie, że do przyległego pokoju, na palcach, weszła matka i układała się cicho na kanapie, by czuwać nad nią. Parę razy wstawała w nocy, bo Malwina coś przez sen mówiła, raz dotknęła jej czoła, było zimne, tylko pierś oddychała ciężko, widać że niespokojne sny ją trapiły.

Ksiądz Ambroży do Baczyńskiego się udał i powtórzył przed nim prowadzoną z Malwiną rozmowę.

— Postąpiłem haniebnie—rzekł Baczyński.

— Niezakończ podobnie—odpowiedział ksiądz.

— Mówiłem z żoną, która przeciwną mnie jest, jako i ty. Zróbcie swoje, lecz przyszłość pokaże przy kim prawda. Ja wszelkiej zrzekam się odpowiedzialności.

— I coście postanowili?—spytał ksiądz—

— A róbcie sobie, co chcecie—bo wiem, że ta szalenica życie sobie odebrać gotowa—mówił przez łyzy.— To zapłata za trudy, za troski całego żywota... Wstyd przed ludźmi będzie oczu pokazać—to też niepokazę, zagrzebię się, zakopię... żeby mnie czasami Zdziarski lub Czawiec nie spytał: a jak się ma pani Andrzejowa?... Cha, cha, cha—doczekałem się pociechy.—A niech ich... Wyrwał z głowy garsć włosów—

— To jeszcze nie odpowiedź—rzekł ksiądz.

— Czegoż ty chcesz?—Dasz ślub—tylko ja na nim nie będę.—Tego nie wymagaj ode mnie, nie

chciej... powiedz jej tylko, że gdy ten mąż okaże się gburem, gdy proza życia w całej goliźnie stanie, gdy ujrzy się nie w swoim otoczeniu i zanudzi się śmiertelnie a ten głupi ojciec na myśli jej stanie, który już wtedy mieć będzie rozum—powiedz—że daję jej prawo, porzuciwszy tego... męża—przyjść do mnie. Nie odtrąć jej, przygarne, przytulę—wtedy dopiero—

— Aż wtedy?—Lecz złym jesteś prorokiem.— Ale—dodał po chwili—coś przecie dasz córce?...

— Ja? — Niezbierałem dla Maleckiego pieniędzy. Niech im miłość osładza życie—z przekąsem odparł.

— Amen!—rzekł ksiądz.—

I wyszedł, kierując się w stronę Szlachtówki.

— Pierwszą czynnością Baczyńskiego na dzień drugi, było wysłanie listu do hrabiego Izydora z zawiadomieniem, że nie pewnego o uczuciach Malwiny donieść mu nie może, lecz niech nie traci nadziei.

Ta nadzieja, która wypłynęła z pod pióra piszącego, opierała się na niepewnym stanie zdrowia syna pana Krzysztofa o czym Baczyński od księdza się dowiedział? Nigdy i nikomu dotąd pan Lubomir nie życzył śmierci—teraz ta mara straszna, stawała przed nim w jakichś barwach ponętnych. Dla Malwiny byłby to cios—prawda! ale ciosy przynoszą się, rany się goją.

Tym czasem wesoły dom jarneński okryła pośpiesznością wielką. Pani Olimpia z Miss Mary nie opuściły Malwiny, której wszystkie władze umysłu skupiły się w jednym uczuciu—miłości. Baczyński zamknął się w swym gabinecie i niepokazywał się rodzinie. Pisał i wysyłał listy, przywoływał rządzącą, dając mu pieniądze i polecenia jakiegoś, sam zaś także mówił o wyjeździe do drugiego majątku znajdującego się w odległości kilkunastu mil od Jarnej.

O naznaczonej godzinie przyszedł ksiądz Ambroży i razem z Malwiną wyszli. Pani Olimpia wiedziała o celu wycieczki, lecz zabroniła nie mogła, choć bolało ją serce, że tak się dziwnie spletało wszystko. Andrzej oczekiwał przyjścia drogiej istoty, powitał ją i pan Krzysztof w progu swojego domu powitał tem serdeczniej, że syn jedyny, choć osłabiony niezmiernie, podniósł się z łoża i patrzył powracającym zdrowiem i życiem. Doktor upewnił, że wszystkie złe oznaki choroby przeszły, że dziś za życie ręczyć może, resztę dokona siła młodości, ta największa cudowórczyni. Nie znał jednak prawdziwej przyczyny wyzdrowienia, to też stary pan Krzysztof powitał Malwinę słowami:

— Witaj lekarko moja—witaj... cuda czyniła!

Od tej chwili zaczęły się dni cichego szczęścia rozkochanych w sobie. Niejedna chmura zasępiała by im czoło, gdyby nie ksiądz Ambroży, który, jak duch opiekuńczy czuwał nad nimi i umiał niejedną złą myśl rozpędzić, niejedno zwątpienie odegnąć. Wiedzieli i Malecy, że dla Baczyńskiego ta miłość jest śmiertelnym kamieniem obrazu, odczuwał to tem bardziej Andrzej, któremu rola intruza za bolesną była i—gdyby nie przywiązanie Malwiny, nie jej serce, któreby ciosu rozstania znieść nie mogło: dumę naprzeciwko dumy by postawił i tem samem spojrzeniem wyższości odpłacił. Ale ręce miał skute pierścieniem, a piękne ramiona Malwiny, jak bluszczowe powoje oplatały mu szyję i czoło. Nie był też dla nikogo tajemnicą projektowany wyjazd Baczyńskiego. Z nim się łączyło zapoznanie się pani Olimpii z narzeczoną córki, miała przyjść z księdzem do Maleckich, do domu męża prosić ich nie miała prawa.

Gwałtowny postępek Baczyńskiego z córką, nie uszedł uwagi służby—miłość Malwiny i Andrzeja nie mogła również być tajemnicą. Nie wiadomo, kto w danym wypadku był echem—lecz wieść o tem wszystkim przedostała się za kopce graniczne dóbr jarneńskich, pobiegła dalej i dalej i zaalarmowała sąsiadów.

Zdziwienie i oburzenie było powszechne.

Kocio Pomiszewski, który lubił demokratyczne wygłaszać zdania, zatrząsł się do głębi swej istoty, Rokicki wycedził bardzo mądrą sentencję o niższości kobiecych umysłów, panna Izabella zczerveniała ze zgrozy i wypowiedziała przyjaźń Malwinie—nie wiadomo tylko jakie było zdanie Czawicza, bo ten zagranicą bawił, wyjechał niedawno i nie prędko miał wrócić. Nie obeszło się jednak by ten

to ten, próżną ciekawością gnany nie zawitał do Baczyńskich. Ale odpowiedzi służby brzmiały:

— Państwo wyjechali.

— Wyjechali—aha! wstydzą się.—Bo też skandal nie lada—powtarzano do kofa.

Po dwóch tygodniach—Andrzej do zupełnego powrócił zdrowia. Zakochani widywali się codziennie. Towarzyszył im najczęściej Chostyna, który w czas umiał głuchego udać, oczy przymrużyć, odwrócić się, gdy to za stosowne poczytał. Był obecny, lecz młodej parki nie krępował w niczem, często towarzyszyła mu Jagna, z którą sam się nieraz gdzieś zapodziawał, że szukać go musiano. Oddała sobie o niczem złem nie marzyli. Malwina kochała teraz Andrzeja, bo był piękny, dobry i rozumny, zrozumiała podniosły cel jego pracy i sama zapalała się do niej. Młodość—to wiek złudzeń, a cóż dopiero gdy miłość się dołączy. Ale pan Krzysztof był już za stary złudzeń nie miał.

Co myśli Baczyński?

Kłatwę pewnie rzuca na jego głowę.

I pan Krzysztof przynawał mu słusność.

Raz, wypadkiem spotkali się na probostwie—księdza nie było.—Baczyński czekał, nadszedł Malecki.

Pan Krzysztof zatrzymał się w progu i przestąpić go nie śmiał—Baczyński wzrokiem go przeszył i odezwał się.—

— I kiedyż swojego syna z moją córką ożenisz?

Malecki uderzył się w piersi.—

— Nie wiem — szepnął — Bóg świadkiem. . . Ja nie chciałem—niech powie ksiądz...

Baczyński patrzył na pochyłą, skruszoną postać dziada, na głowę jego białym osypaną włosom, bliźniaki okrytą, na nogę w pół uciętą, na dłoń zmarszczoną, na to wszystko, co było historią jego życia—i coś się mu w sercu ścisnęło. Podszedł i kładąc dłoń na ramieniu pana Krzysztofa, rzekł cicho.

— Wiem, żeś ty nie nie wiuien, wiem—wiem! i dla tego zawsze dłoń twoją ścisnę.—

I wyszedł szybko, zostawiając jakąś kartkę do księdza.

Była to zapowiedź wyjazdu, opuszczał pałac jarneński z rodziną całą—na zawsze. Daremne były łzy pani Olimpii, wola męża nieubłaganą się okazała.

— Ani ja, ani ty—ani nikt z moich, na ślubie tym nie będzie. Tak chcę, tak każe—a nie zmuszajcie mnie do gwałtu.—

Z córką się nie widział.

Gdy nadszedł dzień rozłąki, pani Olimpia w ramionach Malwiny omdlała. Młodsza działa, nie rozumiejąc nic, rzucała pytania:

— Dla czego ty Malwiniu z nami nie jedziesz?

Ale odpowiedzą były tylko łzy ciche...

Po przyjściu do przytomności, pani Olimpia raz jeszcze prosiła męża, by choć nieny pocałunek na czoło córki położył. Lecz Baczyński głową potrząsnął i rzekł:

— Nie — nie — między nami skończyło się wszystko, zerwało się wszystko .. na zawsze!

Malwina nie śmiała z prośbą pójść do ojca—bolało ją dotąd ramię.

Zaszły powozy, bryki i furgony, na które ładowano rzeczy. Opróżniał się dom cały, nietknięto tylko dwóch Malwiny pokojów.

O! jak bolesnym echem drgał w sercu jej biednym oddalający się, głuchy turkot powozów. Opróżnione zostały stajnie i wozownie, służba dworska ruszyła wraz z państwem, czeladź także. . i pusto i głucho i straszno było...

— I za co oni mnie tak opuścili?—szepiała zbladłymi ustami Malwina.

Gdy znikł głos wszelki, gdy echa nawet nie mogły uchwycić turkotu kół, gdy ta cisza okropna zaległa dwór o trzydziestu pokojach—a Malwina jak senna stała—w drzwiach sali ukazał się cień jakiś i zbliżał się do niej powoli.

Był to Andrzej

Malwina podbiegła i zawisła mu na szyi..

— Musisz mnie kochać, bardzo kochać—zawołała głosem przez łzy tłumionym.—Kochać tak, jak ja, która rzuciłam wszystko dla ciebie.

Pocałunek, jak wieczność długi połączył usta kochanków.—

(Dokończenie nastąpi).

Książki dla dzieci i młodzieży.

III.

Mały grajek przez Jadwigę Warnkę, wydanie Maurycego Orgelbranda, jest to bardzo wdzięczna i dobrze napisana powiastka o chłopcu wiejskim, którego Bóg obdarzył talentem muzycznym, a jest to sierota bez ojca i matki, której wspomnienie idzie za nim jedynie w życie, bo ojca nie pamiętał wcale. Aby mieć dach nad głową i chleba kawałek potrzebuje już pracować i idzie w służbę za pastuszką do bardzo surowego, choć niezłego człowieka, którego chłopczyzna biedny boi się też bardzo i skoro raz jedna z owiec, które pasał pod lasem, zabłąkała mu się w gęstwinie, ucieka z trwogi przed karą. Niemniej poczucie obowiązku rozbudzone już w piersi młodej, nie pozwala mu pozostawić samopas powierzonej mu trzody, odprowadza ją też uciec do owczarni i dopiero puszcza się sam w świat boży szukać chleba, który by był zapracowanym uciec. Gdy przecież rodzinną wioska zniknęła mu z przed oczu, gdy zgłodniały i zmęczony ujrzał się samotnym i szukając odpoczynku, siadł pod starym dębem, zapłakał rzewnie nad niedolą swoją.

Lecz Bóg opiekuje się sierotami i gdy zalane łzami oczy wzniosł ku niebu, usłyszał, po za sobą głos łagodny, pytający go, czego płacze? Przemówił tak do niego jeden zacny pan z okolicy, który litośnie przyciągnął sierotę do siebie, dał jej pracę odpowiednią siłom młodym i gdy szczęśliwie, słodko zadowolone chłopię grało sobie raz w sadzie na fujarce, wydobywając z niej wdzięczne tony, dobry jego opiekun zasłyszawszy je poznał, że jest tu zaród talentu i wkrótce też potem zawiózł go do Warszawy, oddał do konserwatorium, lecz dola i niedola blizkie są siebie. Opiekun jego umarł, ale on miał już wskazaną sobie drogę i wziął się gorliwie do pracy, dobrzy ludzie podali mu dłoń pomocy i wyjechał dla kształcenia się wyższego za granicę, gdzie przecież nie zapomniał przeszłości, nie przestał czuć się synem ziemi rodzinnej i książkę tę można zaliczyć do najlepszych w swoim zakresie, bo przedstawia siłę woli połączoną ze szlachetnym pojęciem życia.

„*W kraju i w Japonii*,” powieść wydana także przez M. Orgelbranda, przekład wolny, niewiadomo przecież z jakiego oryginału. Przedstawione tu są losy chłopczyka, którego rodzice przebywający w Japonii wysłali do kraju rodzinnego, aby tam się kształcił i brał w pierś wraz z jego powietrzem miłość tego kawałka ziemi, na której pracowali jego dziady i pradziady. Spotkał się tu przecież zaraz na wstępie z rzeczą bolesną: smutną kolizją w rodzinie, smutnymi zatargami o pieniądze, co jest zawsze mniej dobrą rzeczą do przedstawienia młodej wyobraźni, której trzeba raczej ukazywać szlachetne obrazy życia, podniosłe wiedzonego, bo wzory to są rozbudzające instynkta dobre, złożone w głębi każdej istoty ludzkiej i trzeba tylko wywieść je na jasność myśli naszej ukazując ich piękność, wypromieniającą się nam z głębi ducha.

Słoneczko, powieść dla młodzieży przez Jadwigę Chrzęszczewską, wydanie Orgelbranda, to dzieło rodziny ziemiańskiej, której brakuje już ojca. Matka niewiasta zacna, dobrego serca, ale nieradna, nie umie prowadzić interesów, zwłaszcza że majątek jest obdłużony i przyniata ją też brzemie trosk, którem nie dała by rady, gdyby nie pomoc sąsiada Trapszy, dobrego, rozsądnego człowieka, z którym mąż jej żył od lat wielu w przyjaźnej zażyłości. Trapsza jest to tak zwany szlachcic zagrodowy, człowiek, który sam pracować umie, więc umie też dobrze radzić jak pracować i oszczędzać należy, ale niełatwo je to pozbyć się nawyknień lat wielu i stan interesów wdowy staje się coraz gorszy, czego przecież rodzina, zwłaszcza w młodych jej członkach, zrozumieć nie umie. Powieść zaczyna się od opisu zabawy—wesołego spaceru sankami Anny, najstarszej córki, wraz z młodszym rodzeństwem. Ale sanki nagle się psują, wywracają, na szczęście zjawia się Trapsza, zabiera Annę wraz

z dziećmi do swego zaścianka a syn jego Witold, młodzieniec przystojny i wykształcony, siada natychmiast na konia, aby dać znać matce Anny, co się stało, za co przecież wyniosła dziewczyna ledwo, że podziękowała półsłówkiem, niezadowolona że musi przebywać u ludzi z nieodpowiedniej dla niej sfery. Lecz ci ludzie właśnie przychodzą jej z pomocą pocziwają w chwili, gdy jej bardzo potrzebowała i powieść dobra, zajmująco pisana, przedstawiająca bardzo miłe obrazy życia wiejskiego, kończy się szczęśliwie, bo Anna poznawszy lepiej życie i jego wartości prawdziwe, umie cenić to, co godne jest szacunku.

W *pustyniach Australii* przez Władysława Umińskiego przedstawia młodemu czytelnikowi świat mało znany, więc książka tem więcej zajmować go może i wiedzę jego rozszerzyć. Spotykamy się z uczonym podróżnikiem, Fryderykiem Halm, który przybył tu dla studyowania miejscowych owadów, a stanął mu tu do pomocy miejscowy lekarz, Artur Dugan, z którym podróżnik czyni wycieczki w głąb kraju w towarzystwie murzyna, imieniem Abel, który był przecież człowiekiem wykształconym, bo Dugan wychowywał go pocziwie i dał możność zrozumienia tego, co jest przeznaczeniem istoty ludzkiej na ziemi. Opisy natury są tu zajmujące i pouczające zarazem, bo natura ta jest tu bogata, lecz badacze zwiedzający okolice natrafili jednego dnia na zwłoki europejczyka, który czując, że już umiera, skreślił kilkanaście wyrazów, a był to polak, Jan Wilski, którego ostatniej myśli i woli trudno się było dobrać w zatartych już literach, ale puszcza z minerałami świadczyła, że był to uczony przyrodnik, geolog i wśród zbiorów jego znajdowały się blaszki złote: kwarc mieszczący znaczny procent tego metalu. A mieściły się tu i drogie kamienie, a słowa testamentu wykazały, że wyprawa dla celów nauki przemieniła się na poszukiwanie bogactw. Rysunki pozostawione przez zmarłego, podsunęły myśl, aby się puścić w głąb kraju za śladami nieszczęśliwych, i złożyć na grobie biedaka wieńce z paproci i innych miejscowych roślin. Postanowiono sobie niezmiennie tego dokonać i książka, zawierająca te opisy, skreślone zajmująco i umiejętnie, jest bardzo pożyteczną dla młodych czytelników, bo uczy ich jakim jest życie i otwiera zarazem szerokie horyzonty dla myśli. Wydanie nakładem Arcta.

M. I.

Z WŁOCH

Rzym.

Zatrzęsła nam się tutaj niedawno ziemia pod nogami, a stało się to nad ranem i wyrazić trudno wrażenie jakie to sprawiło na ludziach nagle w ten sposób zbudzonych. Zrywano się z łóżek, które się chwiały, sprzęty wszystkie szczękały głucho i choć trwało to minut parę stał się popłoch trudny do opisania, krzyki, płacz; matki chwytaly na ręce dzieci małe, wystraszone i płaczące, wypowiedzieć też trudno jakie to sprawiło wrażenie. Wstrząśnięć było trzy; pierwsze lekkie, faliste, trwające kilka sekund, drugie silne już i dłużej dające znać o sobie, bo od 8 do 9 sekund, potem znowu lżejsze, przecież trudno wyrazić wrażenia, jakie sprawiło na ludziach i zwierzętach. Mężczyźni i kobiety, dzieci małe, powybiegały na ulice w bieliznie, a każdy dążył na miejsce otwarte, na plac jakiś, który przecież w oka mgnieniu się zapędnił i co to był za widok, ile głosów rozlegało się tonami różnymi przerażenia, trwogi, wyrazić nie można. Przestrach szerzył się i wzrastał jeszcze przez fałszywe wieści i trudno opisać chwilę, gdy jakiś błądy jak śmierć człowiek biegł przez ulice miasta krzycząc, że kopuła Ś-go Piotra się wali!...

Gwardya szwajcarów stanęła w szyku na wielkim dziedzińcu Ś-go Damazego, Ojciec Święty zbudzony przez pierwsze zadrżenie murów Watykanu, szybko wdział na siebie szaty i zrozumiałwszy od razu, co się dzieje, posłał jednego z kapelanów

po wiadomość, że świątynia S-go Piotra nie uległa jakiemu zniszczeniu, ale na szczęście stare te mury wytrzymały wstrząśnienie bez szkody żadnej. Gmach uniwersytetu zarysował się przecież w kilku miejscach, kilka domów po za Tybrem zostały przez władzę porządku publicznego opróżnione, a stary, kilkowiekowy gmach kolegium polskiego na Via Maronicy zaznaczył się kilku rysami; po za Tybrem policja opróżniła parę domów. Deszcz, na szczęście że nie wielki, zaczął padać, kawiarnie otworzyły się też dla wystraszonych zbiegów, a wszystko razem tworzyło dramat przerażający, którego nie zapomni nikt z tych, którzy w nim uczestniczyli.

W tydzień potem, dnia 6-go listopada, zadrażała znowu ziemia pod nogami ludzkimi, trwało to na szczęście parę sekund tylko, że przecież działo się to w nocy, popłoch był nie tak wielki, bo zanim przebudzeni mogli pojąć, co to być może, już powód trwogi zniknął. Wieści, że Leon XIII, zachorował ze wzruszenia, są nieprawdziwe, i dowodem tego jest, że d. 3-go bieżącego miesiąca znajdował się na zebraniu konsystorza publicznego. Wprawdzie znać na nim było znużenie, ale trzeba wziąć pod uwagę ciężki płaszcz srebrem lity i bogatą tyarę, które dla mieszczących się na niej drogich kamieni bynajmniej lekką nie jest, a przytem wielki tłok ludzi wytworzył ciężką do oddychania atmosferę. Zgromadzenie to całe przedstawiało się razem wielce wspaniale; w sali Dei Paramenti oczekiwali Ojca S-go cały dwór jego: kardynałowie, szambelani, kawalerowie maltańscy, wraz z mistrzem tego zakonu i wielu książętami rzymskimi, wielu dostojnymi gośćmi, a gdy nakoniec wniesiono Ojca Świętego na *Sedja gestatorio*, otoczonego wachlarzami z białych piór strusich, chwila była wspaniale uroczystą, zwłaszcza gdy Leon XIII, zdjawszy z głowy tyarę, nakrył ją mitrą biskupią, a kapela papieżka ozwała się śpiewem uroczystym poważnym. Kardynałowie przystępują wtedy kolejno i całują ręce Ojca Świętego a trzech, nowo wyniesionych do tej godności, obchodzi cały szereg kardynałów, całując się znowu z każdym. Nakoniec Papież schylającym się przed nim nisko podaje kardynalskie kapelusze, które przykrywają głowy, a gdy wszyscy zajęli już miejsca swoje, adwokat konsystorski odczytał akt beatyfikacji S-tej Julii Belart, francuzki, która założyła w Nemour stowarzyszenie sióstr Najświętszej Panny.

Powrót do miasta tych rodzin rzymskich, które bawiły w czasie lata w wiejskich wilach swoich, wnosi tu zawsze ruch żywy. Tak zwane Corso, to jest spacer w godzinach po południowych przez główne ulice miasta w powozach odkrytych, jest jedną z ulubionych rozrywek pań rzymskich. Na Pincio muzyka wojskowa gra zawsze od godziny pół do czwartej do piątej i powozy mijają się lub zatrzymują, gdy znajomi się spotykają i jest to w tej porze roku najgłośniejsza rozrywka wyższych sfer rzymskiego patrycyatu. Królowa Małgorzata lubi też bardzo ten spacer i nieradko ujrzeć ją tam można, zawsze uśmiechniętą, wesołą, w odkrytym powozie, którym król Humbert powozi. Włos już mu siwieje, ale jest w nim taki zapas żywotności ducha, który go odmładza i można też powiedzieć o królewskiej parze, że jest to para ludzi szczęśliwych. Nie im nie brakuje, wszystko co ich otacza uśmiecha się do nich, kochają się szczerze, są kochani od wszystkich do koła i jednym tylko cieniem, który nieraz zamroczy oblicze króla, jest ta odwieczna plaga Włoch: bandytyzm.

Wypięć go trudno, bo korzeniem głęboko jest w grunt zapuszczony, a zuchwała śmiałość włoskich opryszków niełatwą jest do opisanja. W Korsyce utworzyła się banda, złożona z dwunastu dzikich drabów, którzy nietylko zuchwale napada wsie, domy, ale nakłada na ludność różnorodnego podatki. Niedawno miała tu miejsce historia trudna do uwierzenia tym, którzy Włoch nie znają; banda owa rozsiewa w koło postrach taki, że stała się siłą jawną, z którą ludność liczyć się musi jak z władzą jakąś prawną, która pobiera podatki i wydaje rozkazy, słuchane pokornie. Właśnie w tym czasie opanowała ona miasteczko rządowe Casabianko, w okręgu Fiumorbo, zajęła wszystkie budynki rządowe, nakazywała mieszkańcom składanie czynszu w produktach spożywczych i jedząc, pijąc doskonale, oczekiwała na przybycie urzędnika, który miał przybyć dla wypłaty tygodniowej robotnikom, pra-

cującym przy bieu nowego traktu przez wąwóz między górami. Ostrzeżony urzędnik zawrócił się co najprędzej do Bastia i bandyci zostali panami placu, a dodać trzeba, że cała ta okolica zostaje pod władzą taką rozbójniczą.

Król Humbert jest tego przekonania, że ta dzielność mężka potomków Roma i Romulusa, nie dająca się nagiąć spokojnie do powszednich prac na kawałek chleba, jest przyczyną bandytyzmu i stara się też na rozmaite sposoby dawać ujście tej sile dzielnej. Stowarzyszenie strzeleckie jest więc instytucją, którą monarcha ten, popiera bardzo, wglądając w jej organizację, a przemowy jakie nieraz wygłasza na zebraniach Stowarzyszenia, są pełne miękiej energii. Wypowiada w nich żywo, że w razie wielkiej wojny, jaka może uderzyć na Włochy, państwo liczy na ochotnicze pułki strzelców, więc rozgrzewają się serca młodzieży, ideał rycerskości przeciwstawia się zgnuśnieniu, które wytwarza niedołęgów, lub fireyków i synowie najdostojniejszych rodzin zapisują się do Stowarzyszenia, które ma filie swoje na całym półwyspie. W bieżącym roku główne nagrody wziął oddział Stowarzyszenia rzymskiego oraz z Pizy i z Florencji, a wymienić też należy fakt ten wdzięczny, że matka jednego z triumfatorów, kobieta już sędziwa, hr. Anuncyata Franchi, siedząca w łoży, wyciągnęła radośnie ręce do syna. Wiele bardzo kobiet przygląda się tym igrzyskom męzkim, a nieradko matki prowadzą tu synków.

Włochy rozwijając się w tem odrodzonym swoim życiu, rosną też w dumę i badacze starożytnych czasów wykazują wszędzie coraz to wyższe stanowisko Włoch w historii świata. Jeden z antropologów włoskich, Giovanni Sergi, poświęcił się z przejęciem gorącego zapału studjum, wykazując, że plemię europejskie nie pochodzi od aryów, ale od etrusków. Uzone te wywody nie dały by się zawrzeć na kilku kartkach moich. Sergi zapowiedział, iż wkrótce zbierze wszystkie dowody tezy swojej i podda je krytyce w dziele, które napisze. Sztuka włoska zwraca się też równie w przeszłość; pendzel malarzy otwiera obraz jej pojęć, uczuć, jej życia, a szlachetny nasz artysta, który tam przebywa, Henryk Siemiradzki, oddał się temu natchnieniu wieków ubiegłych i wykończył właśnie obraz, którem zajmują się tam żywo w świecie sztuki. Tłem jest wnętrze cyrku, Nero zszedł na arenę, aby się przypa trzyć z bliska męczennicy, leżącej na piasku, a przywiązanej do dzikiego byka, powalonego o ziemię. Neron otoczony jest dworem swoim i strażą wojskową, a w głębi tłumy ludu przypatrującego się tej tragedji okrutnej. Znawcy już wydają sąd bardzo pochlebny i upomnieli się też tam u was u ludzi mających środki po temu, aby nie zginął dla nas, dostawczy się w ręce obce.

August

Z bieżącej chwili.

— Dzienniki petersburskie donoszą, iż powstał tam projekt włączenia zarządu więziennego do ministerjum sprawiedliwości.

— Zapowiedzianym został w Moskwie na d. 13 czerwca 1896 r., zjazd przedstawicieli służby telegraficznej na kolejach z udziałem reprezentantów departamentu poczt i telegrafów. Na zjeździe tym podniesioną będzie kwestya społecznego telegrafowania i telefonowania na jednym przewodniku, oraz kwestya piorunochronów i zastosow. nie ich do stacyi telegraficznych i telefonicznych, dalej o warunkach odnawiania i naprawy przewodników powietrznych i podziemnych.

— Warszawskie Tow. dobroczynności odbyło posiedzenie wydziału przytułku sierot, któremu przewodniczył prezes tego wydziału Krzeczkowski. Zaproszeni zostali na członków wydziału p. p. W. Gosiewski, J. Chamiec, J. Łabuński i A. Schmidt, na opiekuna przytułku sierot dziewcząt przy ul. Hożej D-r St. Kondradowicz. Na opiekunki zakładu chłopców sierot przy ulicy Freta p. p. Zofia Grodzińska,

Aniela Karszo - Siedlewska, Teodora Jankowska, Łucya Wende, Zofia Leska; na opiekunkę przytułku sług p. Katarzyna Szwece, na kasyerkę p. Marya Dmochowska. Dla sierot dziewcząt, mieszczących się w gmachu Towarzystwa przeznaczono 25 rs., oraz przyznano w nagrodę dla dwóch wychowanki zakładu sierot 18 rs. W Przytułku mieści się 100 dziewcząt i 210 chłopców.

— Koncert Moniuszkowski, złożony wyłącznie z dzieł mistrza, powtórzony został w niedzielę w salach reutowych z celem przysporzenia funduszu na wzniesienie posągu Moniuszki, który ma wykonać p. Hipolit Marczewski za sumę 4,000 rs. Mierziński złożył już artyście na ten cel 1,700 rs., lecz potrzeba jest jeszcze 2,300 rs. Do udziału przyznana została Lutnia, orkiestra Wielkiego teatru, oraz soliści: Józefa Szezingierówna i Julian Jeronim. Dyrygował orkiestrą teatralną Z. Noskowski, Lutnią Piotr Maszyński.

— Na wystawę Tow. Zachęty sztuk pięknych przybyły prace: S. Kostrzewskiego „Morze,” J. Wasilewskiego „Żniwa,” M. Trzebińskiego „Martwa natura i „Z przedmieścia,” F. Cichowskiego „Gęsiarka.” Według ustawy Tow. włączają się do losowania dzieł sztuki między członków te tylko numera, za które należność wniesioną została przed losowaniem, to jest przed d. 31 grudnia. Przykra wiadomość nadesłaną została Towarzystwu, że znaczna ilość najeelniejszych obrazów naszych przesłanych na wystawę do Chicago, a pozostałych ze sprzedaży z wolnej ręki, wystawiono w Nowym-Yorku na licytację, aby fundusz ten pokrył długi, zaciągnięte przez przedsiębiorcę, który przecież cały ten interes wziął na swoją odpowiedzialność.

— Grono osób, pracujących w zakresie pedagogii zajęło się zorganizowaniem odczytów dla dzieci.

— Warszawskie Towarzystwo dobroczynności otrzymało zapis w sumie 1,500 rs., uczyniony przez ś. p. Alberta Krzyżanowskiego, od którego procent przeznaczony jest na wsparcie czterech osób ociemniałych wyznania rzymsko-katolickiego po 18 rs., każdej. Od dnia 15 bieżącego miesiąca rozpoczęło się rozdawanie 150 obiadów bezpłatnych codziennie przy ulicy Topiel z funduszu Towarzystwa. Rozdawaniem tem zajmuje się opiekun Rutkowski.

— Do rzeczy dobrych zaliczyć trzeba podniesienie się głosów, aby bilety na wyścigi konne zostały opodatkowane na cele dobroczynne. Opodatkowanie biletów wejścia ma być takie same, jak na widowiska, jeżeli zatem jedna serya wyścigów wykaże obrót 100,000 rs., podatek przyniesie 1,000 rs.

— Z dwóch przedstawień amatorskich, urządzonych w Muzeum przemysłu w d. 30 listopada i 1-go grudnia na budowę baru dla chłopców sierot na kolonii Dręwnica, zebrało się 477 rs. za bilety wejścia i nadatki, że koszt przedstawień wynosił 249 rs., otrzymano 227 rs., które wniesiono do kasy Towarzystwa dobroczynności.

— Świeżo wydany spis studentów uniwersytetu warszawskiego wykazał, iż w bieżącym roku uniwersyteckim jest 946 studentów, słuchaczy wolnych 9, farmaceutów 92. Przedstawia to w porównaniu do roku zeszłego powiększenie się liczby studentów o procent 7,1, farmaceutów o 22,8.

— W skutek przekształcenia szkoły miejskiej imienia Konarskiego na szkołę rzemieślniczą nowego typu, zatwierdzoną w 1889 r., potrzebnym jest fundusz dodatkowy 4,9 0 rs., który wypłaconym będzie corocznie: 2,460 rs., z funduszu skarbu, z funduszu miejskich 2,500 rs.

— W Zakopanem jest znaczna, jak na sezon zimowy liczba gości, 200 osób. Klimatyka jest w roku bieżącym otwarta i w zimie, jak i wszystkie zakłady, sklepy, ale brak życia towarzyskiego daje się uczuć. W przeszłym miesiącu otwartym został teatr amatorski, z którego dochód przeznaczono na urządzenie wewnętrzne nowego kościoła. Pogoda służyła dotąd stale, lecz w początkach listopada spadły śniegi, że przecież mrozy dochodzą do 12° R. snuwa jest doskonała.

— Pomnik Mickiewicza, wykonany w Krakowie przez Rygięra, stoi dotąd obity deskami, a twórca jego wyjechał do Rzymu, obiecując przecież, iż wykona powtórnie odrzucone przez komitet dzieło. Przewodniczącym komitetu był wówczas książę Sanguszko, jako marszałek krajowy, obecnie jest nim Stanisław Badeni, ale obejmując ów urząd nie miał

on dotąd czasu zająć się zbadaniem, jak stoi ta ważna dla miasta sprawa.

— Sprawa biblioteki ś. p. Adryana Baranieckiego załatwiła się pomyślnie. Spadkobierczyni jego uczyniły zeń dar technicznoprzemysłowemu muzeum, przeciw zamknięcia w pakach nie odpowiadała przeznaczeniu swemu, aż głosy odzywające się za pośrednictwem dziennikarstwa poruszyły tę sprawę i obecnie cenny ten księgozbiór umieszczono w wielkiej dolnej sali muzeum i ogłoszono godziny, w których otwartym będzie dla pragnących z niego korzystać. Obejmuje on 7,000 dzieł w technologii, sztuki, rzemiosł i przemysłu artystycznego, oraz publikacje artystyczne z zakresu architektury, malarstwa i rzeźbiarstwa, oraz dział wzorów rysunkowych i wszelkiego rodzaju reprodukcje graficzne. Niemniej bogatym jest dział czasopism artystycznych i przemysłowych, tak krajowych jak i zagranicznych.

— Rada miejska Krakowa przeznaczyła 4,000 zł. reń., na pomnik dla Matejki w kościele Maryackim, zamiast, jak odzywały się głosy bardzo liczne, przeznaczyć tę sumę na powiększenie funduszów „Domu Matejki,” który będzie najpiękniejszym dla niego pomnikiem.

— Donoszą z Ameryki, że pleban czeskiego kościoła w Baltimore, ks. Grochowski, przekłada na język angielski poemat Mickiewicza „Konrad Wallenrod.” Kapłan ten jest niepospolitym lingwistą i wiele utworów naszego piśmiennictwa przełożył na język angielski i czeski.

Co mówią kwiaty

zebrała i ułożyła

Marya Piechocka.

Róża złota, czyli papieżka.

Róża ta jest kwiatem sztucznym, o listkach i łodydze ze złota. Bywa poświęcaną przez Papieża w czwartą niedzielę postu, zwaną niedzielą róż.

Oto szczegóły tego odwiecznego zwyczaju, według opowiadania księdza Gaume.

Dawniej papież udawali się konno z pałacu laterańskiego gdzie zamieszkiwali do bazyliki jerozolimskiej św. Krzyża. Tam odprawiana była msza św., która w całym kościele katolickim rozpoczyna się w dniu tym od słów: „Lactare.”

Wesel się! Doszedłszy do połowy świętego lecz smutnego postu, kościół chce dodać odwagi swym dzieciom, i natchnąć je świętą radością, pokazując z bliska cel pokuty, i nieśmiertelną koronę, która ma wynagrodzić ich umartwienia i walki.

Aby ożywić i rozpowszechnić to radosne uczucie Rzym je chce uosobić w różę królowej kwiatów.

Jestto mniej więcej znaczenie poetycznej modlitwy, wymawianej w czasie poświęcenia.

Po ceremonii papież trzyma w ręku poświęconą różę i pokazuje ją ludowi, jako symbol nadziei wspólnych na przyszłość, i uczuć obecnych.

Papieża niosącego różę w ręku, odprowadzał do przysionka bazyliki prefekt Rzymu w szatach purpurowych, złotem obuwii, trzymając Ojca św. strzeżem przy wsiadaniu na konia.

Aby uwzględnić ten dowód uszanowania, papież oddawał różę temu dygnitarzowi, który przyjmował ją na kolanach całując stopę Ojca św. Było też w zwyczaju, że Papież wysyłał tę różę jednemu z panujących, dawnym cesarzom niemieckim w dzień koronacji, jakiej znakomitej osobie, lub do jednego z kościołów.

Dzisiaj bywa przeznaczana księżtom lub księżniczkom, jako uznanie pobożności i miłości bliźniego.

Pierwszy raz złota róża była poświęconą przez papieża Leona IX w r. 1050. Papież Pius IX, posłał różę złotą cesarzowej Eugenii chcąc wyrazić, że ceni jej przymioty serca, które Francuzi ocenić umieli, nazywając ją siostrą miłosierdzia.

Róża. — Jerychońska.

Nazwę tę, nosi mała roczna roślina pochodząca z piasków Arabii, Syrii i Egiptu. Łodyga jej rozgałęzia się od korzenia i wydaje kwiaty białe lub różowe bez szypulek. Podczas dojrzewania owoców, liście opadają, gałęzie twardejsze, sechną, związają się w kłęb, wiatr je wykorzenia i unosi do morza. Ze wschodu przywożą ją do Europy i drogo sprzedają.

Hygrometryczne własności tej rośliny przedstawiają dziwne zjawisko. Gdy się zanurzy korzeń z jednej strony do wody, lub nawet w czasie wilgotnej temperatury, pęk się rozwija, gałęzie rozpościerają; w miarę wysychania, pierwotny kształt powraca.

Ta osobliwość, wraz z miejscem pochodzenia jest powodem wielu bajecznych legend.

Na roślinie tej w pobliżu stajenki, Najświętsza Dziewica rozpostarła pieluszki Dzieciątko Jezus; ztąd nazwa róży Jerychońskiej. Według podania, róża ta kwitła i rozwijała się, co roku w dzień Narodzenia Chrystusa, wydając wówczas nieznaną zapach.

Róża mszysta.

Anioł, który opiekuje się kwiatami, a w nocy krystalizuje na nich zbawcze krople rosy, zasnął pewnego wiosennego poranku pod krzakiem róży.

Obudził się z uśmiechem i rzekł: O ty! najmilsza z moich dziełek, dziękuję ci za twój słodki zapach i cień dobroczynny. Gdybyś miała jakiegokolwiek pragnienie pragnąłbym je natychmiast zaspokoić. Daj mi jeden wdzięk więcej rzekł krzew różany. I oto anioł, ozdobił królowę kwiatów skromną koroną mchu. Pochyliła się wdzięcznie w nowym stroju, róża mehowa, najpiękniejsza z róż.

Miła dziewczeczko, porzuć fałszywe blaski i kamienie błyszczące, a idź za głosem przyrody naszej matki. (Krummacher).

„Bogowie utworzyli tylko dwie doskonałe rzeczy: kobietę i różę.” Grzeczne słówko filozofa, a że ci ludzie wiele ich nie mówią, więc się przechowa dla swej oryginalności jak kwiatek wśród skał. Jestto drobnostka, wonny wietrzyk w pustyni. Kto wie, może to jakaś piękna Greczynka natchnęła filozofa tym uprzejmym sądem, a może jest on prawdą powszechną. Cóż da się porównać z różą? Cóż da się porównać z kobietą? Gdy się ukazały te dwa rajskie kwiaty, sam Bóg mógłby o ich piękności rozstrzygnąć. Ale róża pozostała zawsze niezmienną, a kobieta zgrzeszyła, i utraciła swę piękność. Grzech poniża naturę; inaczej byłybyśmy wszystkie piękne jak siostry róż, a komplement Solona, stałby się ogólną prawdą. (de Guérin).

Królowa róż.

Sw. Medard, biskup Noyon we Francji ustanowił uroczystość koronacji róż w kościele w Salency. Nagrodą enót jest wieniec różany i mały posąg.

W roku 532 siostra założyciela, jednogłośnie została obraną królową róż; otrzymała ją z rąk Sw. Medarda i przekazała przykład swych enót towarzyszkom wieku dziecięcego.

Oprócz Noyon, wioska Nanterre, ojczyzna Św. Genowefy, patronki Paryża, postanowiła zachować ten pobożny zwyczaj, który przez długie wieki podziwiał się utrzymuje z tą samą wzruszającą prostotą. Oto opis jednej z uroczystości, odbywanych w Nanterre.

Tłum był wielki w starożytnej wiosce, już dzisiaj na miasto przetworzonej. Powodem tego był do roczny zwyczaj koronacji jednej z młodych dziewcząt. Kościół ozdobiono świątecznie: kwiaty, kandydła, świece.

Wszyscy się cisną i tłoczą do tej kaplicy, sławnej od wieków, gdzie się odbył chrzest Ludwika XIV, i gdzie tak często klęczała królowa Anna Austriacka, małżonka Ludwika XIII. Wkrótce daje się słyszeć muzyka, orszak postępuje! Drzwi stoją otworem, a królowa róż w bieli, prowadzona przez mera gminy i jego sekretarza, wchodzi wśród dźwięku organów, które rozlegają się wśród świętych sklepień.

Pięćdziesiąt dziewcząt, również w bieli z wienkami róż, stają na estradzie pokrytej czerwonym adamaszkiem ze złotymi frendzlami; w środku estrady wznosi się aksamitny baldachim pod który wstąpić ma uszczęśliwiona laureatka!

Po przemowie jednego z kapłanów o początkach obecnej uroczystości, dziewczę zarumienione, wstępuje pod baldachim i na kolanach odbiera koronę z białych róż od jednej z dobroczynnych pań, która ją seiska, winauje szczęśliwiej, zawieszając na szyi złoty łańcuszek i przypina bogatą szpilkę, dar zaszczytny, członków rady gminnej. Proboszcz ubrany w szaty kapłańskie ofiarowane kościołowi w r. 1626 przez królową Annę przystępuje do ołtarza, muzyka gwardyi narodowej daje się słyszeć na chórze, a nowo ukoronowana królowa róż schodzi i łączy się z towarzyszkami, z których każda przy bukiecie białych kwiatów.

Widok to prawdziwie czarodziejski: ów tłum strojny, mistrzowie ceremonii i rada gminna w błękitnych szarfach, te dziewczątka różowe i białe, tak świeże jak ich kwiaty, śpiewy radosne co się wznoszą do szczytu świątyni, promienie słoneczne igrające mnóstwem barw na szybach starożytnego kościoła. Królowa miesza się i płon odbierając zaszczyty przywiązane do jej godności. Zresztą jak bogata jest teraz, bogactwo jej, to dwadzieścia lat, to słaby łańcuch, to ładna broszka i posażek pięciuset franków ofiarowany jej przez gminę. Bogactwem jej przedewszystkiem ten wieniec biały, zasłużona nagroda wzorowych obyczajów i sławy nieskazitelnej.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu” dołącza się Katalog księgarni T. Paprockiego i S-ka.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu” dołącza się powieść **Czy to miłość?** przez Franka Frankfort Moore'a. Przekład z angielskiego, ark. 3.

TREŚĆ: Boże Narodzenie (rysunek).—Święta w rodzinie, przez M. I. — Pogawędka, przez ??—Kazimierz Gliński. Klęska Powieść (dalszy ciąg). — Książki dla dzieci i młodzieży III., przez M. I.—Z Włoch, przez Augusta.—Z bieżącej chwili. — Co mówią kwiaty, zebrała i ułożyła Marya Piechocka.

Dodatek obejmuje: Czy to miłość? powieść przez Franka Frankfort Moore'a przekład z angielskiego ark. 3. Przegląd mód. 50 wzorów i robót z opisem. — Sekret gospodarskie.—Dyspozycya stołu.